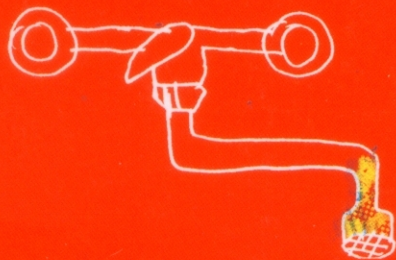
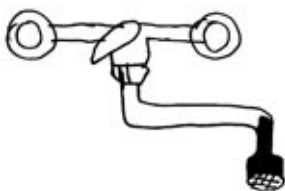


Franciszek Mirandola

TROPY



TROPY



Franciszek Mirandola

T R O P Y

Redakcja i wstęp
Piotr Kitrasiewicz

Jirafa Roja
Warszawa 2005

© Copyright by Franciszek Mirandola
© Copyright by Jirafa Roja, 2005

Skład i łamanie: **Tatsu** 

Projekt okładki: **Natalia Gościński**

ISBN 978-83-62948-56-7



Wydanie I
Warszawa 2005

Spis treści

Franciszek Mirandola: Nadzieje i przekleństwo	7
Zatruta studnia	17
Ulica Dziwna	23
Wolność	31
Cel	38
Pułapka	51
Świt	58
Pociąg nadzwyczajny	70
Gościniec dusz	80
Stary dom	108
Zamknięte	120
Chleb i woda	130
Hotel pod ideałem	143
Dola	156
Drogowskaz	164
Lux Perpetua	182

Franciszek Mirandola: Nadzieje i przekleństwo

„Dał serię opowiadań fantastycznych, należących do najświetniejszych nowel, jakie wydała proza neoromantyczna. «Dziwność» świata i koszarnej doli ludzkiej, ujęte bądź realistycznie z domieszką subtelnej ironii, bądź fantastycznie, otrzymały w prozie Mirandoli wymowę świetnych sztychów literackich o groteskowo wyrazistym rysunku”.

Tak napisał o „Tropach” wybitny polski historyk literatury, prof. Julian Krzyżanowski w swojej monografii o dziejach literatury polskiej z 1979 roku. Jest to jeden z bardzo nielicznych głosów wskazujących na pokryte pyłem zapomnienia wybitne dzieło literackie autorstwa człowieka o ciekawej, choć bolesnej biografii i nietuzinkowej, niemal renesansowej umysłowości.

Pigularz na Pegazie

Franciszek Pik urodził się 13 grudnia 1871 (niektóre źródła podają mylną datę 1878) roku w Krośnie. Pochodził z rodziny o tradycjach patriotycznych i... aptekarskich. Ojciec przyszłego autora „Tropów”, Wojciech Pik, był krośnieńskim burmistrzem oraz właścicielem przekazywanej z pokolenia na pokolenie apteki „Pod Jednorożcem”. Matka pisarza, Maria ze Stacherskich, była bratanicą wynalazcy lampy naftowej, Ignacego Łukasiewicza, także farmaceuty z Krosna. Młody Franciszek niewiele miał do powiedzenia, jeśli chodzi o swój przyszły zawód. Tradycja rodzinna wymagała, żeby i on zarabiał na życie pracą w aptece czyli „pigularni” jak sam z niesmakiem nazywał rodzinną profesję. Pod naciskiem matki

musiał porzucić naukę w gimnazjum i rozpocząć terminowanie do zawodu u znajomego aptekarza w pobliskim Rzeszowie. Pod zdobywaniem szlifów czeladnika, Franciszek wyjechał do Krakowa na studia farmaceutyczne. Ukończył je w 1893 roku zdobywając dyplom magistra farmacji. Natychmiast jednak podjął kolejne studia, tym razem filozoficzne. Rozpoczął je na Uniwersytecie Jagiellońskim, a kontynuował na uczelniach w Heidelbergu, Berlinie i Paryżu. Dążąc do poznania uniwersalnej prawdy, przebywał także w Anglii i we Włoszech, a nawet dotarł do Indii, gdzie uległ fascynacji buddyzmem. Powrócił do kraju czyli Galicji u schyłku XIX stulecia. Bez entuzjazmu podjął pracę zarobkową w rodzinnej aptece w Krośnie. Z biegiem czasu zmieniał apteki i miejsca zamieszkania. Odziedziczoną „pigularnię” oddawał w dzierżawę, a sam angażował się jako farmaceuta w placówkach w Iwoniczu-Zdroju, Łącku, Stryju, Tymbarku, Krakowie. Mówił, że chce lepiej zarabiać, ale nie zawsze zmiany te szły w parze z faktyczną poprawą sytuacji materialnej. Miały one raczej podłoże psychologiczne. Niespokojny duch młodego Pika wymagał ciągłych zmian otoczenia, nowych wyzwań i wrażeń, poczucia wolności i niezależności. Przez cały czas bowiem, mieszając składniki chemiczne i lepiąc z nich pigułki, marzył o tym co uważał za swoje życiowe powołanie, a była nim literatura.

W 1898 roku wydał pierwszy tom swoich wierszy: „*Liber tristium*”. Były to nastrojowe liryki utrzymane w młodopolskiej konwencji, lecz wyrastające ponad przeciętność, interesujące pod względem obrazowania i rytmiki słownej. Nie zdobyły szerokiego rozgłosu, ale autor zwrócił na siebie uwagę i wszedł do grona galicyjskich „cyganów artystycznych”, zwłaszcza do grupy krakowskich poetów i malarzy skupionej wokół postaci filozoficzno-literackiego guru dekadentyzmu jakim był pisarz i jeden z ideologów epoki, Stanisław Przybyszewski. Oprócz walorów artystycznych „*Liber tristium*”, pewną rolę przy zwróceniu uwagi czytelników na to dzieło odegrał literacki pseudonim Pika. Franciszek, dobrał go sobie od nazwiska renesansowego pisarza i humanisty włoskiego, Francesco Pico della Mirandoli. Tu Franciszek Pik, tam Francesco Pico. Oczywiście żadnego powiązania z arystokratycznym rodem włoskim nie było, ale młody Polak z zapadłej dziury

galicyjskiej nie miałby nic przeciwko, aby przypisać sobie taki rodowód. Powieściopisarz Jerzy Bandrowski, brat Juliusza Kadena-Bandrowskiego, autora „Generała Barcza” i „Mateusza Bigdy”, wspominał, że kiedyś dla żartu zwrócił się do Pika w pociągu per „panie markizie”. Podobno sprawiło to Franciszkowi ogromną radość i niektórzy koledzy pielęgowali w ten sposób jego snobizm mający podłoże w trudnym do zamaskowania kompleksie niższości. W każdym razie o ile dla farmacji istniał nadal Franciszek Pik, to dla literatury narodził się Franciszek Mirandola, a nazwisko to na okładkach książek intrygowało swoim obcym brzmieniem.

Mirandola publikował swoje utwory poetyckie w ogromnej ilości czasopism polskich, wychodzących nie tylko na terenie zaboru austriackiego, ale i rosyjskiego, na ziemiach tzw. Kongresówki. Piśmem, w którym zadebiutował, był „Dziennik Krakowski”. Z biegiem lat dochodziły nowe tytuły, między innymi, „Życie”, „Krytyka”, „Nowa Reforma”, „Głos Warszawski”, „Naprzód”, „Głos Narodu”, „Robotnik”, „Świat”. W 1902 roku ukazał się kolejny tom jego wierszy zatytułowany po prostu „Liryki”. Odtąd nie wyda już książki poetyckiej, ale jako twórca da o sobie znać nowelami zebranymi w zbiorach „Tempore belli” (1916) i „Tropy” (1918). Do jego prozy jeszcze powrócę, a na razie – dla dopełnienia obrazu Mirandoli jako poety – popatrzymy jeszcze na jego twórczość zaangażowaną politycznie.

Na początku XX wieku pan Franciszek związał się z Polską Partią Socjalistyczną. Pisał wiersze rewolucyjno-niepodległościowe (np. „Zahuczał grzmot” czy „Warszawianka 1905 roku”), które ukazywały się głównie w socjalistycznym „Naprzodzie” i „Robotniku” oraz w wydanej w 1906 roku w Krakowie antologii „Lutnia robotnicza”. Wiersze te ustępują jego utworom zawartym w obu tomach poezji. Wartości artystyczne schodzą w nich na drugi plan na rzecz doraźnej agitacji politycznej. Mają jednak artystyczny nerw i dobry rytm, co sprawiło, że do niektórych z nich skomponowano muzykę i wykonywano na zebraniach i podczas manifestacji, a „Warszawiankę 1905 roku” Mirandola napisał do rytmu melodii „Warszawianki” Karola Kurpińskiego. Zobaczmy jako ciekawostkę fragment jednego z tych zaangażowanych wierszy Mirandoli, pod tytułem „Idziemy jako fala wód”.

*„Idziemy jako fala wód
Idziemy jako wichra po fali,
Iżbyście raz zadrżeli i poznali,
Co może lud”.*

Pan Franciszek był także aktywnym działaczem PPS. Zbierał składki na zakup broni dla rewolucjonistów z zaboru rosyjskiego, a po jej nabyciu przechowywał podobno w swoim mieszkaniu krakowskim istny arsenał. W czasie jednej z manifestacji na Rynku Głównym spuścił z balkonu na Sukiennicach czerwony sztandar czym naraził się policji i musiał na jakiś czas opuścić bohemę spod Wawelu i powrócić do swoich aptekarskich zajęć. Polityczny okres w życiu Mirandoli sprawił, że w czasach Polski Ludowej próbowano go czasem zaklasyfikować jako poetę rewolucyjnego. Próby takie podjęły trzy czasopisma: „Trybuna Literacka” w 1959 roku oraz „Poezja” i „Nowiny Rzeszowskie” (oba w 1972 roku). O Mirandoli pisano jednak sporadycznie, a jeśli już to głównie w prasie regionalnej.

Młodopolski okres życia i twórczości Mirandoli przypomniał w 1956 roku na łamach wychodzącego w Krakowie „Dziennika Polskiego”, Jerzy Pilecki, pisząc o autorze „Liber tristium” i „Tempore belli”:

„Uczestnik gwarnych literackich zebrań „Paonu”, młodopolski poeta z zadumą w oczach, w których czaił się zagadkowy niepokój. W późniejszych latach, zgarbiony, z nieodstępnym papierosem w ustach, zawsze jeszcze z hiszpańską bródką, lecz w wyszarzałym, wytartym płaszczu, mocno zaafierowany, goniący po drobne zaliczki do wydawców”.

Właśnie, drobne zaliczki... Dotykamy tutaj odrębnej dziedziny działalności Mirandoli, dziedziny, która przyniosła mu największy rozgłos, a zarazem stała się jego przekleństwem i przyczyniła do upadku.

Tłumacz na zebranych wikcie

Mowa oczywiście o licznych pracach translatorskich pana Franciszka. Przygoda z mniej lub bardziej sławnymi dziełami poetów i prozaików obcych rozpoczęła się w okresie Młodej Polski, a trwa-

ła do ostatnich chwil jego życia. Tłumaczył autorów niemieckich (Goethe), francuskich (France, Rolland), angielskich (Kipling), belgijskich (Maeterlinck), duńskich (Andersen), norweskich (Hamsun), szwedzkich (Bjornson, Lagerloef), indyjskich (Tagore). W sumie pozostawił po sobie około 300 tomów przekładów, a niektóre z jego translacji wznawiane są i w naszych czasach, między innymi, „Cierpienia młodego Wertera” Johanna Wolfganga Goethego, „Colas Breugnon” Romaina Rollanda, „Głód” Knuta Hamsuna, „Gosta Berling” Selmy Lagerlof. Te właśnie tytuły uchodzą za najbardziej udane w dorobku tłumaczeniowym Mirandoli, który – po Tadeuszu Boyu-Żeleńskim – był najbardziej znanym polskim tłumaczem. Zwłaszcza w latach dwudziestych, kiedy to pan Franciszek porzucił twórczość literacką, a nawet dającą mu materialne oparcie, choć zniechęconą pracą farmaceutyczną, i poświęcił się wyłącznie przekładom. To ostatnie dziesięciolecie jego życia było chyba najgorszym okresem. Oddajmy głos świadkowi tamtych wydarzeń, Stanisławowi Lamowi:

„A z Franciszkiem Pik-Mirandolą, utalentowanym autorem „Tropów” i bardzo pilnym tłumaczem, ile to przeróżnych było kawałków z honorariami! Jeden jednak z tylu mniej lub więcej szablonowych utkwiał mi specjalnie w pamięci. Wygrzewałem się z Mirandolą na słońcu w tak zwanej „Dużej Ziemiańskiej”, która w latach 1918-1923 mieściła się na rogu ulicy Kredytowej i placu Małachowskiego. Popijamy białą kawę z kremem i zajadamy się napoleonkami, co do których upewnia się nerwowo Mirandola: „Ale to wy płacicie, bo ja feniga nie mam przy duszy” (...) próbuje zaciągnąć „pożyczkę osobistą” w owych słynnych ówczesnych markach, wymieniając jakąś astralną sumę, w rzeczywistości odpowiadającą dwóm biletom tramwajowym i pudełku papierosów. Zrobiwszy tę transakcję, jest wprost wniebowzięty, kiedy tu nagle jak spod ziemi wyrasta Jakub Mortkowicz (znany wydawca warszawski – przyp. P.K.) i stając przy stoliku zwraca się do Mirandoli: „Ach, dobrze, że ja pana widzę, panie Franciszku, co słysząc z tym przekładem Cervantesa, na który dałem panu tysiąc marek przed pół rokiem?”. Biedny Mirandola spośpinał, małe oczki zaczęły mu szybko biegać, powyszarpywana bródka jeżyć się; podnosząc głowę ku przybytemu, jakby z głupia frant powiada: „I pan

miałby sumienie wymagać ode mnie, abym ja za te marne tysiąc marek na starość zaczął się uczyć po hiszpańsku?” (Stanisław Lam: „Życie wśród wielu”. Warszawa 1968)

Zwróćmy uwagę na to „zaczął się uczyć”. Lam ujawnia bowiem mało znane kulisy działalności przekładowej Mirandoli. Na pozór, podobnie jak jego renesansowy imiennik, był on lingwistą, poliglotą, znał i tłumaczył z tak wielu języków! Okazuje się, że jednak tylko z jednego – niemieckiego. Poznał go Franek Pik już w młodości jako mieszkaniec Galicji i obywatel austriacki, a potem wyszlifował i opanował w sposób biegły podczas studiów w Heidelbergu i Berlinie. Tłumaczeń z literatury światowej dokonywał z ich niemieckich przekładów. Tak było z autorami francuskimi, angielskimi, skandynawskimi... Na szczęście tłumacze niemieccy słynęli z dokładności i precyzyjności, możemy więc przyjąć, że przekłady przekładów zachowały w dużym stopniu ducha oryginału.

Lata dwudzieste to okres narastającej biedy w życiu Mirandoli. Pracował dużo mozoląc się dniami i nocami nad tłumaczeniami, a zarabiał bardzo niewiele. Wydawcy płacili mu marnie, a szczególnym sknerą był pod tym względem właściciel i redaktor poznańskiego Wydawnictwa Polskiego, Rudolf Wegner. Wydawał on dobrze rozchodzącą się serię pod nazwą „Biblioteka Laureatów Nobla”, do której tłumaczenia wykonywał właśnie Mirandola. Wegner płacił grosze, a Mirandola, bojąc się utraty licznych zamówień, nie protestował, lecz starał się wywiązywać ze wszystkich zobowiązań. Pracował szybko i nie zawsze dobrze. Wytykano mu różnorodne błędy leksykalne i filologiczne, a zwłaszcza wynikającą z pośpiechu niechłujność. Ale wydawca drukował te tłumaczenia byle szybciej nie poddając ich zapewne żadnej adiustacji, płacąc panu Franciszkowi grosze. A on, z jakąś iście franciszkańską pokorą, przyjmował je bez protestów, nie zrywał współpracy z krwio pijącą i jeszcze podobno – jak wspominają świadkowie – był zadowolony. Ale coraz więcej pił. On, który nigdy nie gardził kieliszkiem, teraz coraz częściej wydawał zarobione i pożyczone pieniądze właśnie na alkohol.

Mirandola zmarł w Krakowie 3 czerwca 1930 roku w skrajnej biedzie. Kilka dni wcześniej uczestniczył w pogrzebie swojego przy-

jaciela Władysława Orkana, który także głodował. Dwa dni przed śmiercią autora „Tropów”, on i jego żona Elżbieta, prawdziwa i wierna miłość jego życia, otrzymali wymówienie mieszkania z powodu nie płacenia czynszu. Groziła im eksmisja (mieszkali przy ul. Felicyańskiej). Wprawdzie urząd Miasta Krakowa przyznał Mirandoli zapomogę, ale śmierć była szybsza niż urzędnicy magistratu. Pieniądze otrzymała wdowa. Pisarza pochowano na cmentarzu Rakowickim.

Śmierć Franciszka Mirandoli wywołała na łamach ówczesnych gazet dyskusję na temat warunków w jakich egzystowali ludzie pióra. Oskarżano lokalne i państwowe władze o obojętność, przytaczano nazwiska innych literatów (m.in. Orkana, Przerwy-Tetmajera), którzy podobnie jak Mirandola umarli albo nadal żyli w tragicznych warunkach.

Przyjaciół Mirandoli, redaktor „Naprzodu”, Emil Haecker poświęcił mu wspomnienie pośmiertne na łamach swego czasopisma:

„Bezpośrednio pod wstrząsającym wrażeniem śmierci przyjaciela, nie jestem zdolny do przeprowadzenia dokładnej analizy jego twórczości, ale niepodobna mi uchylić się od wskazania na główne składniki jego poglądu na świat i życie. Posiadał gruntowne wykształcenie przyrodnicze, był przekonanym darwinistą, pod względem przekonań społecznych socjalistą, zarazem na jego umysłowość potężny wpływ wywierała filozofia indyjska oraz filozoficzne systemy Schopenhauera i Nietzschego. Bardzo muzykalny, był entuzjastycznym wielbicielem Wagnera, który także jako poeta i myśliciel wycisnął na nim głębokie piętno. Przytem żywo interesowały Mirandolę zagadnienia podświadomego życia duszy: interesowali go zwłaszcza Karol du Prel i Hu-ebbe-Schleiden, którego czasopismo „Sphinx” abonował. Ulubionymi jego pisarzami byli romantyk niemiecki Novalis i moderniści francuscy Verlaine i Jules Laforgue, których poezję tłumaczył”.

Wynalazca i prekursor

Pisząc o życiu i rozlicznych zainteresowaniach Mirandoli nie sposób nie wspomnieć o jego pasji wynalazczej. Wiemy, że zaprojektował i zbudował niezwykle instrument muzyczny łączący zasa-

dy fortepianu z efektem muzyki skrzypcowej. Niestety, z niejasnych przyczyn wynalazek ten nie został opatentowany i nie doczekał się rozpowszechnienia. Podobnie wszechstronny był Francesco Pico della Mirandola. Ach, jak bardzo Franciszek Pik chciał dorównać swojemu włoskiemu ideałowi i „krewnemu”.

Wróćmy jednak do prozy Mirandoli. Wydał on dwa zbiory opowiadań, drukowanych wcześniej w czasopismach. Pierwszy zbiór nosił tytuł „Tempore belli” i ukazał się w 1916 roku. Zawarte w nim utwory dotyczyły I wojny światowej. Autor skupił się w nim na klimacie i atmosferze pożogi, apokaliptycznej zagłady, okrucieństwie i spustoszeniu jakiegoś wojna dokonała w ludzkich sercach i umysłach. Mirandola uciekał się do nieczęstego na polskim gruncie sięgania po elementy irracjonalne, fantastyczne, posługiwał się groteską oraz cechami zaczerpniętymi z raczkującego dopiero w naszej literaturze ekspresjonizmu. Drugi zbiór – zatytułowany właśnie „Tropy” – został wysoko oceniony przez niektórych krytyków i badaczy literatury. Jest w nim większe nasycenie fantastyką i dziwnością. Mirandola wykreował w tych nowelach własny, niesamowity klimat sięgając – oprócz groteski i ekspresjonizmu – także po elementy surrealistyczne oraz symboliczno-baśniowe. Jego filozoficzna pasja i pragnienie dotarcia do Nieznanego, tutaj, na kartach „Tropów”, znalazła swoje artystyczne odbicie. Każde z tych, skąpanych w atmosferze tajemniczości, opowiadań to swoisty trop, szyfr, wskazujący drogę. Być może drogę donikąd, być może na manowce. Opowiadania te nie udzielają żadnej odpowiedzi, pokazują tylko ludzi dotkniętych pewnym „nawiedzeniem”, pogrążonych w męce szukania i zmagania się z niepewnością. A także bezsilnością ludzkiego umysłu i jego ograniczonymi możliwościami poznawczym.

Stosunkowo nieliczni przeczytali „Tropy”. Jeszcze mniej było tych, którzy o tej książce napisali. Niektórzy nie wiedzieli za bardzo o czym piszą. Na przykład, Stanisław Wasylewski, kreśląc w „Kurierze Poznańskim” wspomnienie pośmiertne o Mirandoli nazwał „Tropy” tomikiem wierszy. Natomiast cenny esej dotyczący jego twórczości ukazał się na rok przed śmiercią pisarza. W publikacji Jerzego Eugeniusza Płomieńskiego pt „Franciszek Mirandola. Poeta-nowelista-tłumacz” czytamy o „Tropach”:

„Zawierają w długim cyklu głębokich parabol i nowel symbolicznych odwieczne pytanie na temat celu, przeznaczenia i dróg ideału człowieka. Triumfalny optymizm poety, wierzącego w narodziny nowego człowieka bierze górę w tej księdze myśli nad chwilowym pesymizmem niedawnego widza i świadka wojny światowej. W książce całej panuje wszechwładnie nastrój fantastyki. Realizm jest w niej świadomie wyciszony, przeduchowiony. W „Pociągu nadzwyczajnym” ujarzmia ta sama prawie sugestywna, tajemnicza atmosfera „Niewidzialnego”, którą w kilka lat później wyczaruje w swoim niezapomnianym „Demonie ruchu” Stefan Grabiński. Jako rodzaj artystycznych akcesoriów wyprzedzają „Tropy” polski ekspresjonizm. Aż dziwne, że krytyka nie zauważyła prawie tego utworu, który jest jednym z najgłębszych przemyśleń filozoficzno-literackiego zagadnienia regeneracji moralno-duchowej powojennego człowieka” (Lwowskie Wiadomości Muzyczne i Literackie, 1929)

* * *

„Tropy” nie doczekały się wznowienia od ich pierwszej edycji w 1918 roku. Podobnie zresztą jak inne oryginalne dzieła Mirandoli, zarówno prozatorskie, jak i poetyckie. Pamiętamy go tylko jako pracowitego i obfitego tłumacza z literatur europejskich. Chyba nieśłusznie. Spuścizna literacka tego galicyjskiego aptekarza, który porzucił bezpieczny kawałek chleba, żeby poświęcić się sztuce literackiej, co zakończyło się dla niego tragicznie, warta jest przypomnienia. I docenienia.

Piotr Kitrasiewicz

ZATRUTA STUDNIA

Łan niezmierzony leżał pod żarem słońca. Na puszystym dywanie wybielałego od promieni złota uwijali się żeńce.

Człowiek z wiadrem siedział na cembrowinie studni i spozierał zadumany wokół.

Miał przykaz poić wszystkich spracowanych, gdy pić zapragną.

To był jego urząd. Ochotnie wziął sznur z rąk poprzednika, który odszedł zwolniony ze służby we właściwym czasie.

Silnemi ramiony pełnił wiadro dobytą z głębi ziemi krystaliczną wodą.

Przychodzili rozradowani, świadomi, że pracują, jak trzeba, i chłodzili czoła na powiewie wiatru, nim usta przytknęli do wody.

Przychodzili też, okryci kurzem drogi wędrowcy ze stron widać dalekich, nie będący pracownikami na złocistym łanie. Twarze ich były obce, ubiory nieznane, mowa dziwna.

I tym dawał pić wedle przykazu.

Zgłaszali się też próżniacy, szydzący z pracowników, ciskający im słowa szydercze. Spragnione ich usta pożądały napoju.

I tym dawał wedle przykazu.

Najchętniej nachylał wiadro ku ustom dzieci zgrzanych, spoconych, zmęczonych zbytkami.

Poił spragnionych, bo ten był cel życia jego. A że myśli jego nie zajmowało w zupełności to zajęcie, przeto pozwalał im krążyć, gdzie chcieli.

Zrazu latały wokół ponad łanem i przyglądały się żeńcom.

Byli tam młodzi chłopcy, chyłący się elastycznie ku ziemi, dziewczęta w jasnych strojach roześmiane i zalotne, starzy ludzie osiwiali w pracy, poglądający często ku niebu, kobiety wiekowe

w czarnych szatach, szepczące pacierze. Łzy padały gęsto z oczu tych kobiet, a spojżenia szukały raz po raz mogił, kędyś w łanie życia skrytych.

Byli tam kapłani, głoszący nauki pracującym. Podnosili ręce nad pochylonemi głowami, darząc pracowników błogosławieństwem niebiosów. Nie brakło też kramarzy z pudłami, pełnymi tandety, i wrzaskliwych skoczków, zachęcających do wesołości.

Wróciwszy z ponad łanu, myśli usiadły na cembrowinie studni, pytając:

— Gdzie teraz polecimy?

— Lećcie wzdłuż gościńców dalekich, snujących się bezmiarem widnokręgu.

Polecały.

Wzbiły się zrazu w niebo, by obrać kierunek, potem ruszyły każda w inną stronę świata. Człowiek z wiadrem pełnił tymczasem dalej swą powinność, w duszy miał przytem wielką ciekawość, co mu też jego myśli przyniosą. Siedział i pracował i tak był zajęty, że nie spostrzegł, iż jedna z myśli nie poleciała wraz z innemi, ale siedziała na cembrowinie niepewna i zakłopotana, strzepując jeno czasem skrzydełkami.

— Czemu zostałaś tutaj? — spytał, spostrzegłszy ją nagle.

— Chcę się udać gdzieindziej! — odpowiedziała.

— A dokądże się to chcesz udać?

— Chcę zejść w głąb studni.

— Po co?

— Chcę poznać, skąd płynie woda, chcę przebyć całą drogę źródła i widzieć, gdzie jego początek.

— Więc idź!

— Nie mogę tam zejść gołębiem. Przyzwól mi przemienić się w małą rybkę, albo pajęczka wodnego, albo kreta, lub inne jakie stworzenie, tak, bym mogła zaspokoić me pragnienie.

— Dobrze! — odparł — daję ci moc przybierania postaci, jakich ci będzie potrzeba. Idź i opowiedz coś widziała.

Znikła, plusnąwszy we wodę, a człowiek z wiadrem pracował dalej, bardziej jeszcze niż przedtem ciekawy na to, co mu jego myśli przyniosą, i spoglądał często w dal, ku skrajowi widnokręgu.

Gdy tak patrzył, ujrzał nagle daleko na równi jakąś postać idącą w jego stronę.

Nieznajomy był biało odziany i połyskiwał na tle zieleni, jak obłok srebrzystego oparu.

Ale obowiązek nie pozwolił Człowiekowi z wiadrem wpatrywać się długo w oddal. Zgłaszali się ludzie, których musiał napoić.

Pracował wytrwale. Wszyscy jednak, którym przychyłał wiadra, wydali mu się teraz mniej piękni, mniej godni. Dostrzegał brud ich rąk i twarzy, rzucały mu się w oczy ślady wyuzdania w ich rysach, w podkrążonych oczach widział szal cielesny, w drżeniu rąk, skutek nałogów brzydkich. Młodzieńcy wydali mu się łakomymi samcami, ludźmi żądnymi uciech, dziewczęta rozpustnicami. Starcy wyglądali na skąpców i bezmyślne ruiny, wiekowe kobiety na pozbawione czucia i pobożności dewotki, kapłani nawet przedstawiali mu się teraz bez wiary, bez zdolności do uniesień... świat mu cały zbrzydł i zczerniał w oczach.

Pragnął, by nastąpiła chwila spokojna, kiedy będzie mógł zobaczyć, co się stało z dziwnym nieznajomym.

Gdy napoił ostatniego, postawił puste wiadro na cembrowinie, wstał i przysłoniwszy oczy ręką zapuścił spojrzenie w dal.

— Bądź pozdrowiony!

Głos jakiś rozebrzmiał tuż obok.

Spojrzał zdumiony i zobaczył, że nieznajomy siedzi na wielkim kamieniu przy studni.

Skłonił się przed nim głęboko. Potem ujął silnemi ramionami linę i wyciągnął świeżej wody.

Pochylił wiadro ku jego ustom.

Nieznajomy uczynił gest odmowny.

— Nie piję tej wody — powiedział.

Człowiek z wiadrem stał zadziwiony i patrzył na przybysza, a im dłużej patrzył, tem bardziej rosło jego zdumienie.

Szata nieznajomego biała była i połyskiwała, jak srebro, mimo dalekiej wędrowni czysta, niepokalana. Spadała z jego ramion w precudnych fałdach, niepodobna zgoła do ubiorów ludzi współczesnych. Ni rąbek jej dolny nawet nie nosił śladu pyłu lub błota, iż wydawało

się, że nieznajomy nie dotyka stopami ziemi, ale unosi się ponad nią, jak anioł.

Kapelusz złożył na trawie.

Twarz jego okalały długie, ciemne włosy, spadające w kędziorach na ramiona.

A twarz sama...

Człowiek z wiadrem wpatrywał się w tę twarz długo. Zrazu zgoła nieznana, coraz mu się wydawała bliższą, bardziej pamiętną, podobniejszą do twarzy zapamiętanych kiedyś...

— Znasz mnie? — spytał nieznajomy.

— Nie wiem... coś sobie przypominam... — odparł z wahaniem. Potem dodał: — Wyglądasz panie, jak ktoś znany mi...

— My wszyscy mamy podobne rysy... wszyscy...

— Któż to wy jesteście? — spytał.

— My wszyscy, nie pijący tej wody! — odpowiedział przybysz.

W tej chwili szum się rozległ w powietrzu nad głowami rozmawiających.

Człowiek z wiadrem spojrzał w górę i zobaczył stadko gołębi.

Były to jego myśli, które wróciły z drogi.

Sfrunęły na dół i przypadły do kolan nieznajomego, tuląc się doń miłościwie.

Brał je łaskawie po kolei i przyciskał do piersi.

Od dotknięcia jego rąk i szaty stawały się srebrzyste i piękne.

Gołębie opowiadały, co widziały.

Jak daleko sięgnąć mogły wzrokiem, wszędy na całym świecie pracowali ludzie. Ścinali lasy, karczowali poręby, drążyli się w głąb ziemi, szukając kopalin użytecznych, inni zaś, pozornie nic nie czyniąc, wytężali myśl nad sprawami świata, albo znów dumali o tem, żali w zaświatach, w przepastnych głębiach przestrzeni, znajdują się twory podobne ludziom, stworzone na ich podobieństwo. Znów inni zatapiali się w pytaniach o początku i sensie świata, byli zaś i tacy, którym ponad wszystko stało prawić, jak to żyć trzeba pocziwie i zgodnie z wolą bożą.

Wszędy zaś, przy każdej gromadzie siedział zawsze Człowiek z wiadrem i poił spragnionych wodą dobytą z głębi ziemi, wspólnej rodzicielki wszystkich.